

Wstęp:

Prezentuję Ci, Czytelniku opowieść o prawdziwej przyjaźni. Nazwałem to opowiadanie „Przyjaźń”, gdyż taki tytuł najlepiej oddaje jego przesłanie.

Bohaterów tu przedstawionych, proszę, nie oceniaj pochopnie, by i Ciebie nikt nigdy nie ocenił pochopnie. Pomnij, że nawet największy łajdak może się nawrócić, a najświętszy-zatracić gdzieś tam, hen, po drodze...

„Przyjaźń”

Była ciemna i pochmurna październikowa noc. Większa część mieszkańców Würzburga już dawno spała. Ci surowi, niemieccy protestanci przestrzegali *ordnungs* w swym mieście. Należało się wyspać, by wstać rano i być gotowym do niedzielnego nabożeństwa. W jednym z domków, leżących na uboczu, po zachodniej stronie miasta, paliło się jeszcze światło. Wewnątrz widać było gorączkującą, starą kobietę, leżącą na sienniku. Przy niej krzątał się jakiś cyrulik. U wezłowania łóżka stał natomiast wianuszek rodziny. Lekarz rozpaczliwie walczył z chorobą używając przeróżnych driakwi.

To, że pomaga rodzinie żydowskiej, co w owych czasach było uważane przynajmniej za duży nietakt towarzyski, wcale mu nie przeszkadzało.

-Chaim- zwrócił się do jednego z podrostków – podaj mi trochę tych lancetowatych liści, a potem to takie zielone w słoiczku.

Nagle ktoś głucho załomotał w drzwi.

-Wer ist das?¹ - spytał pobladły nagle ze strachu ojciec Chaima, stary Jeremiasz Rozenkratz.

-Jesteśmy ze Świętego Oficjum.-rozległa się odpowiedź- wychodź bezbożniku, albo ogniem cię wypędzim.

-Udawajcie że nie ma was w domu- zaproponował lekarz. Po chwili pod naciskiem ciężkich, okutych butów pękły drewniane drzwi. Do domu wpadła zgraja ubranych na czarno wysłanników inkwizycji.

-Który z was jest owym, tutejszym lekarzem?- spytał ten z inkwizytorów, który rozmawiał przez drzwi z Jeremiaszem. Pytanie było całkiem niepotrzebne. Tylko jeden osobnik w całym pomieszczeniu był od stóp do głów utyłany w przeróżnych maściach. Dwóch innych zbirów natychmiast doń przyskoczyło.

-Pójdę z wami dobrowolnie- oznajmił, zanim inkwizytorzy wyciągnęli okute metalem pałki. Magister medycyny wytarł ręce, zarzucił na ramiona płaszcz i wyszedł przez dziurę po drzwiach, eskortowany z każdej strony. Ten z inkwizytorów, który jako jedyny się odzywał wprowadził medyka do czarnego powozu. Następnie sam wszedł do środka i zamknąwszy drzwi, zapukał w przednią ścianę. Na dany znak woźnica strzelił batem i powóz potoczył się w ciemność. Oprócz oskarżonego i strażnika w środku siedział jeszcze jakiś chudy zakonnik. Po białym habicie można było poznać, że to dominikanin.

-Imię?- spytał mnich

-Niech będzie, że Wawrzyniec- odpowiedział doktor

-Dostaliśmy donos- oznajmił dominikanin- że dziś w nocy będzie pan w domu tej żydowskiej rodziny...

-Tak, Rozenkratzowa miała zapalenie płuc, więc przyjechałem.

-I że podobno odbywały się tam kultury Złego.- skończył mnich, jakby mu w ogóle nie przerwano-

Teraz jedziemy do pałacu biskupa Filipa Adolfa von Ehrenberga na pański proces...

-Na co procesy?- przerwał strażnik bawiac się nahajką- wiadomo że to wszystko bezbożne heretyki.

Diabłu cześć oddają, tfu, na stos ich wszystkich i po problemie.

¹ Wer ist das? (niem.)- kto idzie?, kto tam?

-Ależ drogi Michaelu- uspokoił strażnika zakonnik- proces to prawo- a my prawa przestrzegamy. Po niecałej godzinie dotarli do groźnie wyglądającej cytadeli.

- Tu poczekaś na proces.- powiedział Michael prowadząc Wawrzyńca do lochów- Biskup ma parę metrów stąd swój pałac. Przyjdzie do ciebie jutro koło południa.

* * *

Sen przerwał mu jakiś rozpaczliwy krzyk, gdzieś z głębi lochów. Wawrzyniec wyciągnął spod płaszcza fletnię Pana, jedyny przedmiot, który nie został mu zarekwirowany przez Michaela. Zaczął grać spokojną, cichą melodię. Po jakimś czasie strażnik przyniósł mu śniadanie, na które składały się chleb i woda. Lekarz skończył grać i uprzejmie podziękował strażnikowi. Żołdaka na chwilę zamurowało. Nie spodziewał się ani podziękowań, ani uprzejmości. Wyszedł już trochę zbity z tropu. Koło godziny pierwszej przyszedł po medyka dominikanin, w asyście dwóch ponurych strażników. Wawrzyniec po raz kolejny zakończył grę, spokojnie wstał, otrząpął ubranie ze słomy i poszedł za zakonnikiem.

* * *

- Kogo mi przyprowadziłeś Markwardzie?- spytał biskup Würzburga. Był to niski, gruby człowieczek o świńskich oczkach i okropnej, wykrzywionej twarzy. Znajdowali się w niskim kwadratowym pomieszczeniu. Pośrodku stał ogromny, drewniany stół, za którym usiadł biskup oraz Markward, który przyprowadził tu Wawrzyńca. Cyrulik siedział przykuty ciężkimi łańcuchami do żelaznego krzesła, cuchnącego straszonym smrodem. Po obu jego stronach stali wyprężeni strażnicy.

Markward szepnął coś do ucha biskupowi. Wawrzyniec usłyszał słowa brzmiące jak „kaczer”, „diabeł”, oraz inne pokrewne wyrazy.

-Wawrzyńcu...eee...-zająknął się biskup

-Mieleżka- uzupełnił luki w wypowiedzi medyk

-Wawrzyńcu Mieleżka- zahuczał von Ehrenberg- jesteś oskarżony o oddawanie czci diabłu, tudzież pomoc szatańskiemu nasieniu, tym, tym- żydom- ostatnie słowo jakby wypluł z odrazą- którzy już zapewne płoną na stosach. Czy przyznajesz się do zarzucanych ci czynów?!

-Ekhm, słucham?

-Jesteś oskarżony o oddawanie czci diabłu- wyjaśnił spokojnie Markward- chociaż- zawiesił głos- nie koniecznie musiałeś działać z własnej woli. Ci plugawi Judejczycy mogli opętać cię, i omamić jakimś czarami. Powiedz synu „Pater Noster”, „Ave Maria” i „Credo”.

-Pater Noster, qui es in coelis, sactificetur nomen Tuum. Adveniat...

Wielki inkwizytor nie zwracał uwagi na słowa Wawrzyńca. Markward też tylko bez emocji przyglądał się lekarzowi.

-...Mater Dei ora pro nobis peccatoribus nunc...

-Wystarczy!- biskup przerwał w połowie oznajmiania przez Wawrzyńca w co wierzy, a w co nie.- Widzę że jesteś bezbożnikiem katolikiem, bo modlitwy klepiesz tylko po łacinie...

-Wasza Eminencja wie oczywiście, że ten, kto nazywa innych bezbożnikami sam będzie smażył się w ogniach piekielnych. Tak mówi Biblia.

-Kpisz sobie ze mnie, kaczerzu?!- zaryczał von Ehrenberg czerwieniąc się- Groził mi będziesz?! Piekiełm mnie będziesz straszyl?! Ja ci tymi rękami, moimi własnymi rękami palce powyrywam ze stawów. Skoroś taki uczony wiedz że zginiesz jak twój imiennik w dwieście pięćdziesiątym siódmym. Na węglach, cię heretyku upiekę! Żywego! A teraz *apage!* Won mi sprzed oczu!

Po kwadransie obity przez strażników Wawrzyniec siedział na słomie i grał „Carminę Buranę”. Kolacji jakoś nie dostał. Koło godziny ósmej przyszedł do niego Markward. Miał ze sobą chleb, jakąś kielbasę, oraz dzbanuszek piwa. Utwór wygrywany przez Wawrzyńca znał. Śpiewali go w parafialnej szkółce. Nawet się nie zorientował, jak zaczął śpiewać:

Bibit hera, bibit herus,²
Bibit miles, bibit clerus,
Bibit ile, bibit ila,
Bibit servus cum ancila
Bibit velox, bibit biger,
Bibit albus, bibit niger

Więzień skończył grać i spojrzeniem uprzejmie zapytał o cel wizyty.

-Wiesz, Wawrzyniec,- zaczął dominikanin odkrawając kawałek chleba i podając go Mieleżce- zaimponowałeś mi. Nikt jeszcze nigdy nie odszczeknął się tak Jego Wielbności.

-On nie chciał mnie procesować.- powiedział lekarz biorąc chleb. Mnich zabrał się za kielbasę- Jemu nie zależało na tym czy się przyznam, czy nie. Nienawidzi żydów, więc potępia ich i wszystkich, którzy im pomagają. Jest Niemcem, więc myśli że Bóg stworzył go niewiadomo kim. Ja, nie dość że jestem Czechem- Słowianinem, to jeszcze katolikiem, a nie husytą. Musiałem uciekać z Czech. U nas to nie dopuszczalne. Najchętniej od razu posłałby mnie na stos, bez procesu... Bez sprawiedliwości, bądź co bądź. A wiesz pater...

-Markward, Markward Scheigenung- przedstawił się zakonnik.

-Markward- powtórzył Wawrzyniec- A wiesz Markward, że gdy ktoś nie jest sprawiedliwy, gdy sprawiedliwość jest tłamszona, trzeba się przeciwstawić. Przeciwstawić się temu komuś głośno, i całym sobą. Tak jak Hus, Kalwin, Luter. Mało jest dziś ludzi prawych i szlachetnych, więc trzeba pielęgnować tych, którzy są.

-Zgadzasz się z tobą –odpowiedział Markward- dlatego tu jestem. Pamiętasz... nie, pewnie nie pamiętasz, jak w powozie, gdy tu jechaliśmy, mówiłem o prawie. O tym, że my, mam na myśli- inkwizytorzy, Święte Oficjum tego prawa przestrzegamy.

-Pamiętam Markwardzie- powiedział Mieleżka

-No więc, Wawrzyńcze- zakonnik spuścił głowę- my, MY tego prawa nie przestrzegamy. Nie jesteśmy ani prawi, ani sprawiedliwi, ani szlachetni. Dziś ty mi to uświadomiłeś. Pokazałeś mi, że to, w co wierzyłem... to wszystko... się zmieniło. Ty jesteś ubogim lekarzem, Czechem i katolikiem, on bogatym wpływowym biskupem, Niemcem i protestantem. Ale to ty byłeś dzisiaj silniejszy od niego. Dziś zrozumiałem, jakie było całe moje życie. Wawrzyńcze, czy wiesz ile osób, mężczyzn, kobiet i dzieci skazałem na stos? Wiesz ile istnień unicestwiłem jego rękami, a on moimi?

-Markwardzie...- zaczął lekarz

-Dwadzieścia dusz. Wawrzyńcze, czy ty to rozumiesz?

-Tak- odpowiedział medyk- doskonale cię rozumiem, bo i ja popełniałem takie błędy. Popełniamy je my, młodzi idealisci, ślepo wierzący w swe idee. Robimy wszystko to, co karzą nam nasi przełożeni, nie myśląc o konsekwencjach. Markwardzie- podjął po chwili- dziś stałeś się mądrzejszy. Nie zapomnij o tym. A teraz już idź. Idź do siebie, i pomódl się za mnie. Bo choć dzieli nas język, religia, narodowość, to dwie rzeczy na tym świecie mogą nas połączyć. Bóg i prawdziwa przyjaźń.

² Pieśń łac. ze zbioru zwanego „Carmina Burana”

Pije pani, pije pan,
Pije rycerz, pije ksiądz,
Pije ów, pije owa,
Pije sługa za służącą,
Pije gnuśny, pije żwawy
Pije biały, pije czarny

Następnego dnia Markward znowu przemyślał śniadanie dla przyjaciela. Biskup z oczywistych względów odmówił podawania więźniowi jedzenia. Gdy mnich wszedł do celi, Wawrzyniec siedział na ziemi pod ścianą grając na swojej fletni Pana pieśń liturgiczną autorstwa świętego Tomasza z Akwinu. Po chwili Markward podjął śpiew:

Pange lingua, glorisari³
Corporis mysterium,
Sanguisque pretiosi,
Quem in mundi pretium
Fructus vevtris generosi
Rex effudit Gentium.

Wawrzyniec skończył grę. Wspólne gry i śpiewy były dla tych ludzi- wolnego i więzionego- czymś w rodzaju pozdrowienia, lub powitania.

-Witaj Wawrzyńcu- pozdrowił przyjaciela Markward, kładąc przed nim tacę z jedzeniem.- jak się czujesz dzisiaj, szlachetny Czechu?

-Nad wyraz dobrze, jednakże biskup daje mi się we znaki.

-Wawrzyńcu- zaczął powoli zakonnik

-Słucham cię przyjacielu.

-Von Ehrenberg powiedział mi że...- zawahał się- że dziś będzie cię...że cię...

- Jak obiecał będzie mnie palił żywcem? No, no sam biskup mnie zamęczy. *Sursum Corda*, Markwardzie. Jeżeli jest mi pisane dziś umrzeć, to nikt tego nie zmieni.

Potem nie zważając na jedzenie znowu zaczął grać.

* * *

W południe Markward powrócił. Jedzenie znikło. Tym razem zakonnik nie znał słów do granej przez doktora melodii. Po pięciu minutach muzyka ucichła.

-Wawrzyńcu- zaczął beznamiętnie mnich- to się za chwilę stanie. Bądź gotów.

Cyruлик skinął głową, na znak że zrozumiał, po czym znowu przyłożył fletnię do ust i zaczął grać. Na schodach dały się słyszeć odgłosy. Zaraz Filip Adolf von Ehrenberg zejdzie do lochu. A wtedy już nie będzie odwrotu.

Nagle drzwi otworzyły się, i pojawił się w nich Wielki Inkwizytor.

-Węgłe czekają na twoje męczeństwo, Wawrzyńcu- wycedził von Ehrenberg.

Lekarz powoli odłożył swą fletnię Pana, wstał, otrzepał ubranie ze słomy, po czym obdarzając biskupa zaciekawionym spojrzeniem wyszedł. Za nim poszło dwóch gwardzistów towarzyszących inkwizytorowi, a następnie biskup.

-Markwardzie- duchowny zwrócił się do zakonnika- chodźmy. Już czas.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł. W chwilę po nim wyszedł i Markward, wzięwszy uprzednio fletnię Pana swego przyjaciela.

³ Pierwsza zwrotka pieśni wspomnianego w tekście św. Tomasza z Akwinu

Sław języku tajemnicę
Ciała i najdroższej Krwi
Którą jako łask krynicę
Wylał w czasie ziemskich dni
Ten co matkę miał Dziewicę
Król narodów, godzien czci

Sala tortur okazała się okrągłym pomieszczeniem, z pochodniami zamieszczonymi na ścianach. Dokoła leżały, stały, bądź wisiały różne sprzęty służące do zadawania bliźnim bólu.

-Jak ci się tu podoba- jadownicę spytał biskup

-Zimno tu- odparł niewzruszony Wawrzyniec- i ciemno.

-Mój synu- głos von Ehrenberga nagle zelżał- wcale nie musisz tak kończyć. Zrzuć winę na tych podstępnych Judejczyków, a to im, nie tobie, zapłoną stopy. Tylko słowo.

-Nie!- lekarz cały czas był niewzruszony

-Uznam że tego nie słyszałem. Synu zastanów się...

-Nie!- ton głosu doktora był spokojny, jakby odmawiał wstąpienia na herbatę.- Wszedłem do domu Rozenkratza z własnej woli, ponieważ jego żona była chora. Leczyłem ją tymi samymi ziołami, które stworzył Bóg, w którego i Jego Eminencja wierzy. I tylko do tego właśnie Boga modliłem się podczas operacji o zdrowie chorej. Do Niego, i do nikogo więcej. Leczyłem przezeń stworzonymi ziołami, przezeń stworzonych ludzi, takich jak Jego Eminencja i ja!

-Skoro taka jest twa wola.- biskup skinął ręką na jednego z żołdaków.

-Czy Jego Eminencja wie kim jest Shakespeare?- zapytał niewzruszony medyk

-Tak, wiem- odpowiedział inkwizytor- to jeden z tych, którzy nęcą ludzi na jarmarczne przedstawienia, by nie chodzili na msze

-Ów Shakespeare napisał bardzo mądre słowa- mówił cyrulik, gdy strażnik sadzał go na drewnianym stołku- o tym że żydzi, jak wszyscy ludzie, krwawią gdy ich ukłuc, że szukają zemsty, gdy się ich znieważy.- ciągnął dalej spokojnie, gdy strażnik wkładał jego kciuk do dziwnego metalowego urządzenia- Jego Eminencja jest wielkim i mądrym człowiekiem. Ale jego słabością jest, że nienawiść zaślepia jego serce i umysł, zamyka mu oczy i uszy. Jego nienawiść stawia go poniżej najniższych z ludzi, poniżej nawet zwierząt pełzających po ziemi. Zapamiętaj moje słowa, biskupie Würzburga.

-Dosyć tego- ryknął znieważony von Ehrenberg

Jakby w wielkim strachu przed słowami Wawrzyńca doskoczył do lekarza, i zaczął dokręcać jakiś kurek w urządzeniu, na jego palcu.

Markward zbyt długo był inkwizytorem, by nie wiedzieć do czego zdolne są te maszyny. Dokręcane imadło powoli miażdżyło palce. Medyk skrzywił się z bólu, ale nie krzyknął. Spod urządzenia popłynęły stróżki krwi. Wawrzyniec krzyknął dziko. Markward szybko wyszedł z sali i zaczął wbiegać po kamiennych schodach na powierzchnię. W jego oczach skrzyły się łzy. Pierwszy raz od wielu długich lat, ten ponury, okrutny dominikanin, ten przerażający inkwizytor zapłakał. Gorzkie łzy pociekły po jego policzkach. W uszach wciąż słyszał świdrujące echo głosu swojego przyjaciela. Dawniej jeszcze doradzałby mu zrzucić winę na innych, by odsunąć podejrzenia od siebie. Po poznaniu tego szlachetnego lekarza o szczerym sercu zrozumiał, że taki postępek godny byłby kary. To sprzeciwienie się całemu złu, jakim jest inkwizycja, przez tego niepozornego człowieka wzruszyło nim, i chwyciło za gardło. Dobiegł do szczytu schodów, i otworzywszy drzwi wypadł na zewnątrz. Zimne powietrze trochę go odświeżyło. Poszedł za róg więzienia opierając się o ścianę. Po czym, najzwyczajniej na świecie wymiotował.

* * *

W tym samym czasie biskup skończył miażdżyć palce Wawrzyńca. Ten spocony i zmęczony, ostatkiem sił, zmuszony przez dumę, zadął głowę, i spojrzał w całą otchłań zimnych oczu swego kata. Biskup kazał na związanych z tyłu rękach lekarza zawiesić go pod sufitem. Gdy strażnik ciągnął za sznur, przewieszony przez belkę na suficie i umocowany do nadgarstków skazanego, stawy doktora rwały tępym bólem. Do nóg przywiązano mu wiadro z wapnem, jako dodatkowe obciążenie.

-W czasie, gdy będziesz dyndać- powiedział biskup- pozwolę ci, Wawrzyńcu, popatrzeć jak nagrzewają się węgle dla ciebie.

Medyk podjechał jeszcze parę centymetrów w górę. Ból z ramion promieniował na całe plecy. Lina, do której przywiązano wiadro, niebezpiecznie się napięła.

-Jakieś ostatnie słowo, zanim wyłamią ci się ręce ze stawów?- zapytał inkwizytor, otępiełego z bólu Wawrzyńca.

-Wybaczam ci- wydyszał lekarz, zanim jego stawy z głośnym chrupnięciem wyłamały się.

-Na ruszt go – rozkazał biskup po chwili.

Nagle do sali wbiegł Markward z nożem w rękę. Z okrzykiem, w którym zawarł cały swój ból rzucił się na inkwizytora. Nim zdążył zbliżyć się do oprawcy swego druha na choćby pół metra doskoczył do niego strażnik i potężnym ciosem obucha złamał dominikaninowi staw biodrowy. Markward z głuchym jękiem zwałił się na posadzkę. Z trudem próbował tamować czerwienią mu habit posokę.

-Ten katolik cię zacczarował!- wyszeptał von Ehrenberg do zakonnika- to guślarz! Czyni uroki i rzuca czary!- ryczał pod adresem Wawrzyńca.

-Markwardzie, już nie ma ratunku- szeptał jakby w obłąkaniu- twą duszę można zbawić jedynie na stosie. Tylko ogień będzie w stanie ją oczyścić! Spalić go!- ryknął nagle- Spalić ich obu!

Markward nie widział już jak strażnicy wrzucają Wawrzyńca na ruszt. Popychając go i bijąc wyprowadzili mnicha z sali. Odprowadził ich przeraźliwy wrzask, oraz zapach palonej skóry.

* * *

Po trzech dniach Markward spłonął na stosie na Würzburgskim rynku. Zameczony wcześniej przez swego byłego zwierzchnika został doprowadzony do stosu i przywiązany do palika. Gawiedź szydziła z niego. Poleciały jajka, pomidory i kamienie. Kat dorzucił słomy. Ogień buchnął wyżej trawiąc człowieka, który poświęcił swe życie, by uratować przyjaciela. Przyjaźń tych dwojga szlachetnych ludzi trwała krótko, a skończyła się tragicznie. Najpierw od ognia zajął się zakrwawiony habit dominikanina, potem ogień zwęglił skórę i włosy. Do samego końca mnich trzymał w dłoniach mały instrument muzyczny- fletnię Pana. Ogień buchnął wyżej...

Epilog:

Oprócz bohaterów tego opowiadania biskup Würzburga- Filip Adolf von Ehrenberg spalił tego pamiętnego roku około dziewięciuset sześćdziesięciu nieszczęśników (sic!).

Zmarł śmiercią gwałtowną i okrutną, czy też w ciepłym łóżku na workach z pieniędzmi? To już zależy od ciebie przyszły Czytelniku. To ty w swej wyobraźni skażesz, lub nagrodzisz tego straszego człowieka. Ale wspomnij kiedyś na Wawrzyńca i Markwarda- prawdziwych przyjaciół, do grobowej deski.

Filip Adolf von Ehrenberg był postacią autentyczną!..

KONIEC